

## Tadeusz Borowski

### „Ludzie, którzy szli”

Najpierw budowaliśmy na pustym polu, leżącym za barakami szpitala, boisko do piłki nożnej. Pole leżało „dobrze” — z lewa cygański z jego wałęsającą się dzieciarnią, kobietami siedzącymi po ustępach i ślicznymi, wysztyftowanymi na ostatnią nitkę flegerkami, z tyłu — drut, za nim rampa z szerokimi torami kolei, wciąż wypełniona wagonami, a za rampą obóz kobiecy. Właściwie nie żaden obóz kobiecy. Tak się nie mówiło. Mówiło się FKL — i wystarczy. Z prawa od pola były krematoria, jedno za rampą, obok FKL-u, drugie bliżej, tuż przy drucie. Solidne budynki, mocno osadzone w ziemi. Za krematoriami lasek, którym szło się do białego domku.

Budowaliśmy boisko wiosną i jeszcze przed jego skończeniem poczęliśmy siać pod oknami kwiatki i wykładać tłuczoną cegłą czerwone szlaczki naokoło bloków. Siało się szpinak i sałatę, słoneczniki i czosnek. Zakładało się trawniczki z wycinanej koło boiska murawy. Podlewało się to co dzień wodą przywożoną beczkami z obozowej umywalni.

Kiedy podlewane kwiatki podrosły, skończyliśmy boisko.

Teraz kwiatki rosły same, chorzy sami leżeli w łózkach, a myśmy grali w nożną. Co dzień po rozdaniu wieczornych porcji na boisko przychodził kto chciał i kopał piłkę. Inni szli pod druty i rozmawiali przez całą szerokość rampy z FKL-em.

Raz stałem na bramce. Była niedziela, spory tłumek flegerów i podleczonej chorych otoczył boisko, ktoś po nim uganiał się za kimś i na pewno za piłką. Stałem na bramce — tyłem do rampy. Piłka poszła na aut i potoczyła się aż pod druty. Pobiegłem za nią. Podnosząc ją z ziemi, spojrzałem na rampę.

Na rampę zajechał właśnie pociąg. Z towarowych wagonów poczęli wysiadać ludzie i szli w kierunku lasku. Z daleka widać było tylko plamy sukienek. Widocznie kobiety były już ubrane w letnie stroje, pierwszy raz w tym sezonie. Mężczyźni zdjęli marynarki i świecili białymi koszulami. Pochód szedł wolno, dołączali do niego ciągle nowi ludzie z wagonów. Wreszcie się zatrzymał. Ludzie usiedli na trawie i patrzyli w naszą stronę. Wróciłem z piłką i wybiłem ją w pole. Przeszła od nogi do nogi i wróciła łukiem pod bramkę. Wybiłem ją na korner. Potoczyła się w trawę. Znow poszedłem po nią. I podnosząc z ziemi znieruchomiałem: rampa była pusta. Nie pozostał na niej ani jeden człowiek z barwnego, letniego tłumu. Wagony też odjechały. Widać było doskonale bloki FKL-u. Pod drutami znow stali flegerzy i krzyczyli pozdrowienia dla dziewcząt, które z drugiej strony rampy odkrzykiwały im.

Wróciłem z piłką i podałem na róg. Między jednym a drugim kornerem za moimi plecami zagazowano trzy tysiące ludzi.

Potem ludzie poczęli iść dwiema drogami do lasu: drogą wprost z rampy i tą drugą, z drugiej strony naszego szpitala. Obie wiodły do krematorium, ale niektórzy mieli szczęście iść dalej, aż do zauny, która dla nich nie oznaczała tylko łaźni i odwszenia, fryzjerni i nowych, pofarbowanych na olejno łachów, lecz również życie. Zapewne, życie w obozie, ale — życie.

Kiedy wstawiałem z rana do mycia podłogi, ludzie szli — tą i tamtą drogą. Kobiety, mężczyźni i dzieci. I nieśli tłumoki.

Kiedy siadałem do obiadu, lepszego, niż jadałem w domu — ludzie szli — tą i tamtą drogą. W bloku było dużo słońca, pootwieraliśmy na oścież drzwi i okna, pokropiliśmy podłogę, aby nie było kurzu. Po południu przynosiłem paczki z magazynu, które były przywożone jeszcze z rana z głównej poczty, z obozu. Pisarz roznosił listy. Doktorzy robili opatrunki, zastrzyki i punkcje. Mieli zresztą jedną strzykawkę na cały blok. W ciepłe wieczory siadałem w drzwiach bloku i czytałem Monfrere Yves Pierre’a Loti — a ludzie szli i szli — tą i tamtą drogą.

Wychodziłem nocą przed blok — w ciemności świeciły lampy nad drutami. Droga leżała w mroku, lecz słyszałem wyraźnie oddalony gwar wielu tysięcy głosów — ludzie szli i szli. Z lasu podnosił się ogień i rozświeciał niebo, a wraz z ogniem podnosił się ludzki krzyk.

Patrzyłem w głąb nocy, otepiały, bez słowa, bez ruchu. Wewnątrz mnie całe ciało drgało i burzyło się bez mego udziału. Nie panowałem już nad nim, choć czułem każde jego drgnienie. Byłem zupełnie spokojny, ale ciało buntowało się.

Niedługo potem poszedłem ze szpitala na obóz. Dnie były pełne wielkich wydarzeń. Na wybrzeżu Francji lądowały wojska sprzymierzone. Miał się ruszyć front rosyjski i podejść aż pod Warszawę.

Lecz u nas w nocy i w dzień czekały na stacji szeregi pociągów załadowane ludźmi. Odmykano im wagony i ludzie poczynali iść

— tą i tamtą drogą.

Obok naszego obozu roboczego był nie zamieszkały i nie wykończony odcinek C. Gotowe stały tylko baraki i ogrodzenia z na-elektryzowanego drutu. Ale nie było papy na dachach, a niektóre bloki nie miały prycz. Przy pryczach trzypiętrowych końskie bloki obozu w Birkenau mogły pomieścić do pięciuset ludzi. Na odcinku C wstawiano do tych bloków po tysiąc i więcej młodych dziewcząt, wybranych z tych ludzi — którzy szli. Dwadzieścia osiem bloków

— ponad trzydzieści tysięcy kobiet. Kobiety te ostrzyżono do skóry, ubrano w letnie sukieneczki bez rękawków. Bielizny nie dostały. Ani łyżki, ani miski, ani szmaty do ciała. Birkenau leżało na mokradłach u podnóża gór. W dzień doskonale było je widać przez przejrzyste powietrze. Rano tonęły we mgle i zdawały się być oszronione, ponieważ ranki były niezwykle zimne i nasiąknięte mgłą. Ranki te orzeźwiały nas przed upalnym dniem, ale kobiety, które o dwadzieścia metrów na prawo stały od piątej rano na apelu, były zsiniałe od zimna i tuliły się do siebie jak stado kuropatw.

Nazwaliśmy ten obóz Perskim Rynkiem. W dni pogodne kobiety wychodziły z bloków i kłębiły się na szerokiej drodze między blokami. Barwne letnie suknie i kolorowe chusteczki zakrywające gołe głowy sprawiały z daleka wrażenie jaskrawego, ruchliwego, gwarnego rynku. Przez swoją egzotyczność — perskiego.

Z daleka kobiety nie miały ani twarzy, ani wieku. Tylko białe plamy i pastelowe postacie. Perski Rynek nie był obozem gotowym. Komando Wagner budowało na nim drogę z kamienia, którą ubijał wielki walec. Inni gmerali przy kanalizacji i umywalniach, świeżo zakładanych na wszystkich odcinkach Birkenau. Jeszcze inni kładli podwaliny pod dobrobyt odcinka: zwozili kołdry, koce, naczynia blaszane i skrzętnie składali je do magazynu do dyspozycji szefa, zarządzającego esmana. Oczywiście, część z tych rzeczy natychmiast szła na obóz, rozkradana przez pracujących tam ludzi. Tyle zresztą było pożytku z tych wszystkich kołder, koców i naczyń, że można je było ukraść.

Wszystkie dachy nad budami blokowych na całym Perskim Rynku zostały pokryte przeze mnie i moich towarzyszy. Nie czyniono tego z nakazu ani przez litość. Kryliśmy bowiem zorganizowaną papą i lepiliśmy zorganizowaną smołą. Nie robiliśmy tego również przez solidarność ze starymi numerami, fiegerkami z FKL-u, które objęły tu wszystkie funkcje. Każdą rolkę papy, każdy kubel smoły blokowe musiały zapłacić. Kapie, komandofuhrerowi, prominentom z komanda. Zapłacić różnie: złotem, żywnością, kobietami z bloku, sobą. Jak która.

Tak samo, jak myśmy łątali dachy, elektrycy zakładali światło, stolarze robili budy i sprzęty do bud z zorganizowanego drzewa, a murarze przynosili ukradzione żelazne piecyki i murowali, gdzie trzeba.

Wtedy poznałem oblicze tego dziwnego obozu. Przychodziliśmy z rana pod jego bramę, pchając przed sobą wózek z papą i smołą. Na bramie stały wachmanki, biodrzaste blondyny w wysokich butach z cholewami. Blondyny rewidowały nas i wpuszczały do środka. Później szły same na kontrolę bloków. Niejedna z nich miała swoich kochanków wśród murarzy i cieśli. Oddawały się im w nie wykończonych umywalniach albo w budach blokowych.

Potem wjeżdżaliśmy w głąb obozu między jakieś bloki i tam na placu rozpalaliśmy ogień i gotowaliśmy smołę. Kobiety natychmiast oblegały nas tłumem. Błagały o scyzoryk, chusteczkę do nosa, łyżkę, ołówek, kawałek papieru, sznurówkę, chleb. — Wy przecież jesteście mężczyznomi i możecie wszystko — mówiły. — Tak długo żyjecie w tym obozie i nie umarliście. Na pewno macie wszystko. Dlaczego nie chcecie podzielić się z nami?

Rozdawaliśmy im wszystkie drobiazgi, wywracaliśmy kieszenie na znak, że już nic nie mamy. Zdejmowaliśmy koszule dla nich. W końcu zaczęliśmy przychodzić z pustymi kieszeniami i nie dawaliśmy nic.

Te kobiety nie były jednakowe, jak wydawało się nam z perspektywy drugiego odcinka, o dwadzieścia metrów na lewo stąd.

Były wśród nich maleńkie dziewczynki z nie obciętymi włosami, zaplątane cherubinki na obrazie sądu ostatecznego. Były młode dziewczęta patrzące ze zdumieniem na tłum kobiet koło nas i z pogardą na nas, na szorstkich, brutalnych mężczyzn. Były mężatki rozpaczliwie proszące nas o wiadomości o zaginionych mężach, były matki szukające u nas śladu po swoich dzieciach.

— Nam jest tak źle, zimno, jesteście głodne — płakały — czy tylko im jest lepiej?

— Im jest na pewno lepiej, jeżeli istnieje sprawiedliwy Bóg — odpowiadaliśmy poważnie, bez zwykłych kpin i szyderstwa.

— Lecz przecież nie umarli? — pytały się kobiety, patrząc nam niespokojnie w oczy.

Odchodziliśmy w milczeniu, śpiesząc się do swojej pracy.

Blokowymi na Perskim Rynku były Słowaczki, znające język tych kobiet. Dziewczęta te miały za sobą po parę lat obozu. Pamiętały początki FKL-u, kiedy trupy kobiet leżały pod wszystkimi blokami i gnily nie wynoszone ze szpitalnych łóżek, a kał ludzki potwornymi stosami gromadził się w blokach.

Mimo zewnętrznej szorstkości zachowały kobiecą miękkość i — dobroć. Pewnie, miały swoich kochanków i tak samo kradły margarynę i konserwy, aby zapłacić za przywiezione koce albo sukieneczki z efektów, ale...

...ale pamiętam Mirkę, tęgą, miłą dziewczynę w kolorze różowym.

Budę miała urządzoną też na różowo i różowe firaneczki w oknie

wychodzącym na blok. Powietrze w budzie osiadało różowym refleksem na twarzy i dziewczyna wydawała się jakby osnuta delikatnym welonem. Kochał się w niej Żyd z naszego komanda, który miał zepsute zęby. Żyd kupował dla niej świeże jajka, zebrane z całego obozu, i opakowane miękko rzucał przez druty. Spędzał z nią długie godziny, nie zważając ani na kontrolę esmanek, ani na naszego szefa, który chodził z olbrzymim rewolwerem przytroczonym do letniego białego munduru. Szefa zwaliśmy słusznie Filip-kciem, bo wyrastał, gdzie go nie posiali.

Któregoś dnia Mirka podbiegła pod dach, na którym kładliśmy papę. Kivnęła ręką na Żyda i krzyknęła do mnie:

— Niech pan zejdzie! Może i pan coś pomoże!

Zsunęliśmy się z dachu po drzwiach bloku. Chwyciła nas za ręce i pociągnęła do siebie. Wprowadziła między prycze i wskazując na barłóg pełen kolorowych kołder i na dziecko leżące pośrodku rzekła z afektacją:

— Patrzcie, przecież ono niedługo umrze! Powiedzcie, co ja mam robić? Dlaczego ono tak nagle zachorowało?

Dziecko spało bardzo niespokojnie. Było jak róża w złotym otoku: rozpalone policzki i złota aureola włosów.

— Jakie ładne dziecko — szepnąłem cicho.

— Ładne! — krzyknęła Mirka — pan wie, że ładne! Ale ono może umrzeć! Muszę je ukrywać, żeby nie poszło do gazu. Esmanka może je znaleźć. Pomóżcie mi!

Żyd położył jej rękę na ramieniu. Otrząsnęła się gwałtownie i zaczęła łkać. Wzruszyłem ramionami i wyszedłem z bloku.

Z daleka widać było wagony idące wzdłuż rampy. Przywoziły nowych ludzi, którzy będą szli. Drogą między odcinkami wracała do wagonów jedna grupa Kanady i minęła drugą, która szła na zmianę. Z lasu podnosił się dym. Usiadłem koło gotującego się kotła i mieszając smołę, myślałem długo. W pewnej chwili złapałem się na myśli, że chciałbym mieć takie dziecko o rumianych we śnie policzkach i rozrzuconych włosach. Roześmiałem się z niedorzecznej myśli i poszedłem na dach przybijając papę. Pamiętam również drugą blokową, wysokie, rude dziewczynisko o szerokich stopach i czerwonych dłoniach. Nie miała u siebie budy, tylko parę kocy rozłożonych na łóżku i parę zawieszonych na sznurkach zamiast ściany.

— Niech nie myślą — mówiła, wskazując kobiety leżące głowa przy głowie na pryczach — że człowiek ucieka od nich. Nic im nie mogę dać, ale nic od nich nie zabiorę.

— Wierzysz w życie pozagrobowe? — spytała mnie podczas jakiejś żartobliwej rozmowy.

— Czasami — odpowiedziałam powściągliwie. — Raz wierzyłem w więzieniu, a raz, kiedy byłem bliski śmierci w obozie.

— A jeśli człowiek zrobi źle, to będzie karany, prawda?

— Chyba tak, o ile nie ma jakichś wyższych norm sprawiedliwości niż ludzka. Rozumiesz — ujawnienie sprężyn, pobudki wewnętrzne, nieważność winy wobec istotnego sensu świata. Czy zbrodnia popełniona na płaszczyźnie może być karana w przestrzeni?

— Ale tak po ludzku, normalnie! — krzyknęła.

— Powinna być ukarana, to jasne.

— A ty byś robił dobrze, jakbyś mógł?

— Nie szukam nagrody, ja kryję dachy i chcę przeżyć obóz.

— I myślisz, że ich — kiwnęła głową w nieokreślonym kierunku — nie trzeba karać?

— Myślę, że ludziom, którzy cierpią niesprawiedliwie, nie wystarczy sama sprawiedliwość. Chcą, żeby winowajcy też ucierpieli niesprawiedliwie. To odczuwają jako sprawiedliwość.

— Tyś jest mądry chłop! Ale zupy tobyś sprawiedliwie rozdać nie umiał, żeby nie dać swojej kochance! — rzekła z ironią i weszła w głąb bloku. Kobiety leżały piętami na buksach, głowa przy głowie. W nieruchomych twarzach świeciły się wielkie oczy. W obozie zaczynał się już głód. Ruda blokowa łąziła między buksami i zagadywała kobiety, aby nie myślały. Wyciągała z buks śpiewaczki i kazała śpiewać. Tancerki i kazała tańczyć. Deklamatorki i kazała mówić wiersze.

— Ciągłe, ciągle pytają mnie, gdzie są ich matki, ojcowie. Proszą, żeby do nich napisać.

— Mnie też proszą. Trudno.

— Ciebie! Ty przyjdiesz i pójdziesz, a ja? Proszę ich, błagam, która ciężarna, niech się nie zgłasza do lekarza, która chora, niech siedzi w bloku! Myślisz, że wierzą? Przecież człowiek chce tylko ich dobra. Ale jak im pomóc, kiedy same pchają się do gazu!

Jakaś dziewczyna śpiewała na piecu modny przebój. Gdy skończyła, kobiety z buks zaczęły klaskać. Dziewczyna uśmiechała się i kłaniała. Ruda blokowa chwyciła się za głowę.

— Ja już nie mogę dłużej! Przecież to wstrętne — syknęła i wskoczyła na piec. — Złaż! — krzyknęła do dziewczyny.

Na bloku zrobiło się cicho. Blokowa podniosła rękę.

— Cicho! — krzyknęła, choć nikt nie wymówił słowa. — Pytałyście mnie, gdzie są wasi rodzice i wasze dzieci. Nie mówiłam wam, bo mi was żal. Teraz wam powiem, żebyście wiedziały, bo i z wami zrobią to samo, jeśli zachorujecie! Wasze dzieci, mężowie i rodzice nie są wcale w innym obozie. Zapchali ich do piwnicy i udusili gazem! Rozumiecie, gazem! Jak miliony innych, jak moich rodziców! Oni palą się na stosach i w krematoriach. Ten dym, który widzicie nad dachami, to wcale nie z cegielni, jak wam mówią. To z waszych dzieci! A teraz śpiewaj dalej — rzekła spokojnie do wystraszonej śpiewaczki, zeskoczyła z pieca i wyszła z bloku.

Wiadomo, że Oświęcim i Birkenau szły od złego do dobrego. Najpierw bili i zabijali na komandach nagminnie, potem sporadycznie. Najpierw ludzie spali na podłodze bokiem i obracali się na komendę, potem na pryczach, jak kto chciał, i nawet pojedynczo na łózkach. Wpierw ludzie stali po dwa dni na apelu, potem tylko do drugiego gongu, do godziny dziewiątej. W pierwszych latach nie wolno było przysyłać paczek, później pozwolono na pięćset gramm, wreszcie — ile chcesz. Nie wolno było mieć kieszeni, później pozwolono nawet na ubrania cywilne na terenie Birkenau. W obozie było „coraz lepiej”. Po trzech czy czterech latach nikt nie wierzył, że mogłoby być po dawnemu, i był dumny, że przeżył. Im gorzej Niemcom na froncie, tym lepiej jest w obozie. A że im będzie coraz gorzej...

Na Perskim Rynku czas cofnął się wstecz. Oglądaliśmy znowu Oświęcim z czterdziestego roku. Kobiety pożądliwie chleptały zupę, której u nas na blokach nikt nie jadł. Śmierdziały potem i krwią kobiecą. Od godziny piątej rano stały na apelu. Zanim je policzono, była prawie dziewiąta. Wtedy dostawały zimną kawę. O trzeciej po południu zaczynały apel wieczorny i dostawały kolację: chleb i dodatki do chleba. Ponieważ nie pracowały, nie przysługiwała im culaga — dodatek za pracę.

Czasem wypędzano je z bloków w dzień na apel nadprogramowy. Ustawiały się ciasno piątkami i jedna za drugą wchodziły do bloku. Rozłożyste blondyny, esmanki w butach z cholewami, wyciągały z szeregów chudsze, brzydsze, brzuchate i wrzucały do środka „oka”. „Oko” — były to sztubowe trzymające się za ręce. Tworzyły zamknięte koło. Napelnione kobietami „oko” posuwało się jak makabryczny taniec pod bramę obozu i wsiąkało w „oko” ogólne. Pięćset, sześćset, tysiąc wybranych kobiet. Szły wszystkie — tą drogą.

Czasami wchodziła esmanka na blok. Rozglądała się bo buksach, kobieta patrząca na kobiety. Pytała, kto chce iść do lekarza? która jest ciężarna? dostaną mleko i biały chleb w szpitalu.

Wychodziły kobiety z buks i ogarnięte „okiem” szły pod bramę — też na tę drogę.

Wolny czas, robiło się, aby dzień zeszedł, bo materiału było mało, spędzaliśmy na Perskim Rynku u blokowych, pod blokami albo w ustępie... U blokowych piło się herbatę albo szło się przespać na godzinę do budy na gościnnie użyczonym łóżku. Pod blokami rozmawiało się z cieślami i murarzami. Płatały się koło nich kobiety, już w sweterkach i pończoszkach. Przynieś byle jaką szmatę, to możesz z nimi zrobić, co chcesz. Jak obóz obozem, nie było takiej kanady na baby!

Ustęp jest wspólny dla mężczyzn i kobiet. Tyle że przedzielony deską. Po stronie kobiet — tłok i wrzask, u nas cisza i miły chłodek od betonowych urządzeń. Siedzi się tu całymi godzinami i prowadzi się długie

dialogi miłosne z Katią, małą zgrabniutką sprzątaczką z ustępu. Nikt się nie kępuje i nikomu sytuacja nie przeszkadza. Człowiek już tyle widział w obozie...

Tak minął czerwiec. Przez dnie i noce ludzie szli — tą i tamtą drogą. Od świtu do późnej nocy stał cały Perski Rynek na apelu. Dnie były pogodne i smoła topiła się na dachach. Potem przyszły deszcze i wiał ostry wiatr. Ranki wstawały przenikliwie zimne. Potem wróciła pogoda. Na rampę nieprzerwanie podjeżdżały wagony i — ludzie szli dalej. Często staliśmy rano, nie mogąc wyjść do pracy, bo drogi były przez nich zatarasowane. Szli powoli, luźnymi gromadami i trzymali się za ręce. Kobiety, starcy, dzieci. Szli za drutami, zwracając ku nam milczące twarze. Patrzyli na nas z litością i rzucali nam chleb przez druty.

Kobiety zdejmowały z rąk zegarki i ciskały nam pod nogi, gestami pokazując, że możemy wziąć.

Orkiestra pod bramą grała fokstroty i tanga. Obóz patrzył na idących. Człowiek posiada małą skalę reagowania na wielkie uczucia i gwałtowne namiętności. Wyraża je tak samo jak drobne, zwykłe okruchy. Używa wtedy tych samych prostych słów.

— Iluż ich już przeszło? Od połowy maja prawie dwa miesiące, licząc po dwadzieścia tysięcy dziennie... Koło miliona!

— Nie co dzień gazowali tyle. Zresztą, cholera ich wie, cztery kominy i parę dołów.

— To weź inaczej: z Koszyc i Munkacza prawie sześćset tysięcy, co tu gadać, wszystkich przywieźli, a z Budapesztu? Ze trzysta tysięcy będzie?

— Nie wszystko ci jedno?

— Ja, ale chyba to się niedługo skończy? Przecież ich wszystkich wy tłuą.

— Nie zabraknie.

Potem rzucano człowieka z obozu do obozu, bez łyżki, bez miski, bez szmaty do ciała.

Pamięć ludzka przechowuje tylko obrazy. I dziś, kiedy myślę o ostatnim lecie Oświęcimia, widzę nie kończący się barwny tłum ludzi uroczyście zdążający — tą i tamtą drogą, kobietę stojącą z pochyloną głową nad płonącym rowem, rudą dziewczynę na tle ciemnego wnętrza bloku, która krzyczy do mnie niecierpliwie:

— Czy człowiek będzie karany? Ale tak po ludzku, normalnie!

I jeszcze widzę przed sobą Żyda z zepsutymi zębami, jak przychodzi co wieczór pod moją buksę i podnosząc głowę, pyta się nieodmiennie:

— Dostałeś dzisiaj paczkę? Może sprzedasz jajka dla Mirki? Zapłacę markami. Ona tak lubi jajka. — —